

2012

Miasto. Bramy i ulice: Traugutta, Krakowskie Przedmieście, zakręcona Karowa. Dwudziesty pierwszy wiek, życie o ósmej rano biegnie już wartko, ludzie wysypują się barwną chmarą z autobusów, falują w rytmie wczesnej godziny: studenci zabawnie ubrani, kaptury luzackich bluz, obok żakiety; podgolone głowy dziewczyn, długie włosy chłopców. Z kablami w uszach, komórki, iPady, parasole, lekki śnieg. Dźwięk muzyki z chopinowskiej ławki, poranny szum aut mieszają się ze sobą, i ze starożytnym odgłosem dzwonów kościoła też. Panie do biur, studenci w bramę uniwersytecką, anioły do świątyń, ja do redakcji. Wstaje dzień.

Wtapiam się w nurt tej warszawskiej rzeki każdego ranka. Stukają obcasy, cudze, moje. Pośpiech codzienny, potykam się, podnoszę znad zdradliwego krawężnika. Dźwięk nagle inny? Nie klaksony, lecz turkot kół dorożki, szum krynolin i otwieranych parasolek, pokrzykiwanie fiaków. Kapelusze, konie, zapach stajni. Oszałam czy śnię, o lataniu w czasie? Nie, nie - to szklany kubik z pejzażem Canaletta, reprodukcja, ten sam plac i zakręt, tyle że sprzed stuleci. Obok ekspozycja historyczna: fotografie Beyera z roku 1862 tuż przy pomniku Prusa, dalej plakaty o PRL ... Wiek XIX, wiek XX... Przestrzeń tamta czy ta, dziwnie się przenika. Właściwie wszystko jedno, tylko kostiumy i pojazdy inne. I pokolenia: ludzie, różnią ich imiona, peleryny, pesele, owszem, ale czy tak bardzo odmienne niosą pragnienia i lęki, podążając, jak ja, w swój dzień Królewskim Traktem?

Mieszkam w Warszawie, pracuję w wydawnictwie. Codziennie rano w centrum rozstaję się z córką, ona biegnie do szkoły, ja do pracy, za urokliwym kościołem Wizytek, za małym placem księdza Twardowskiego, kamiennymi schodkami w dół. Widok na budynki nad Wisłą jest jak oddech, ta rozmowa dachów i okien, codziennie inspiruje i wzrusza mnie ilością równoległych żywotów, nie-świętych pewnie, pejzażem spiętrzonych ludzkich gniazd. Centrum miasta każdego dnia wygląda inaczej, naprawdę, może w soboty tak samo, ale w soboty to ja rzadko tu bywam.

Wieś. Jedziemy trzy godziny, północny wschód. Jest! Krzyżówka. Łąki skąpane w wodzie, rzeka. Rozlewiska Narwi raz w roku są najpiękniejszym miejscem na ziemi. Wczesną wiosną. Patrząc z mostu w Stokowie na dachy domków i lustra wody, znajdujesz się nagle w kosmicznej kuli, słyszysz ptaki, ale i głosy, śmiech i łzy minionych pokoleń. Domy z tej perspektywy nagle małe są jak grzyby, nie do wiary, że ktoś w nich mieszka. Z mostu widać też mój Domek, prosty, o spłowiastych, różowych ścianach. Rodzice zbudowali go w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Ubiegły wiek, mój Boże, jak to brzmi!

Wiejskie domy współczesne mają białe ściany, brązowe i czerwone dachy, strzech nie pamiętają wcale. Zakwita na nich zbyt często antena satelitarna, rzeka po melioracji sunie prosto, nie zakolami jak niegdyś, ale poza tym – wierzę w to głęboko – widok na wodę i łąki jest z pewnością ten sam co przed laty.

Z tego widoku, na moście nad Narwią, zrodziła się teoria następstwa domów. Wiem przecież: rosły tu niegdyś domostwa sędziwe i drobne chaty, stał cicho Biały Domek moich pradziadków. Przeminęły. Przeznaczeniem domów jest, że niszczą, płoną ale i nieraz powracają. Przeznaczeniem ludzi, którzy domy wznoszą, przekazują potomkom, a sami odfruwają w błękit pomiędzy rozlewiska i chmury – cóż jest? Moja teoria następstwa domów jest – myślę – tyle samo smutna, co budująca. Co do ludzi – kwestia postaje otwarta.

Przychodzi taki moment w życiu, że robisz porządki, układasz sprawy i pozostałe po bliskich istnieniach zdjęcia, wspomnienia, spotykasz cienie, czytasz listy, zamknięte w tej czy innej szufladzie. Kufer, stara szafa, kredens – nieważne. Przyszedł i do mnie taki czas, tu na wsi, w domu nad Narwią. Znalazłam pocztówki w sepii, pełne grzeczności, jakich nie uświadczysz w smsach, życzenia zdrowia i długiego życia wysłane niegdyś do ludzi, których już nie ma, choć, owszem, długo żyli, bywało, że szczęśliwie. Znalazłam zapisane dobrym, nie wyblakłym tuszem wyznania. Schowane w ciemnym brzuchu szafki zwanej w rodzinie Wilusiem, jako że pochodzi z czasów pruskiego cesarza Wilhelma, a przybyła tu na wschód, daleki dla niej, aż z Poznania... Zapiski ukryte pomiędzy lekarstwami, strzykawkami, stetoskopem a buteleczką z gumą arabską i flakonikiem fioletowej gencjany do czyszczenia ran, choć wiadomo: nie wszystkie skaleczenia chcą się goić.

Znalazłam w Wilusiu „Pamiętnik Janki”. O, wiedziałam, że tam jest, ale nadszedł czas, by się do tego przyznać. Marzeniem moim stało się zapisanie, póki pamiętam jakie imię nosiła młoda kobieta na białą czarną fotografię zawieszoną nad kominkiem, przyczynę, dla której ludzie na zdjęciu obok uśmiechają się do siebie. Jak przewinęły się ich biografie przez XX wiek, przez wichry wojny, przez czas budowy, niby przez film albo ruchomy plakat? Rzeczywistość ich nie do mnie należy, chociaż z niej wyrastam. Odziedziczyłam ją, znalazłam w szufladzie poznańskiej szafki z czasów cesarza Wilhelma. Pożółkłe kartki dużego zeszytu A - 4, z nierównym kobiecym pismem. Dziwnie pachnie taki stary papier. Janko, kim byłeś?

CZĘŚĆ I Z biegiem Narwi

Pamiętnik Janki

Biały Domek, w którym przyszedłam na świat, zbudowany został przez dziadka Teofila, kiedy powrócił do Stokowa – swojej rodzinnej wsi nad Narwią – z carskiego wojska, zaraz na początku XX wieku. Nie znałam go, bo urodziłam się dzień przed jego śmiercią: 28 stycznia, czyli dziadek umarł 27 dnia tego miesiąca. Działo się to roku 1923 i, jak twierdzi moja matka, pomimo zimy, padał wtedy deszcz.

Dziadek zmarł nazajutrz po moich urodzinach, podobno szczęśliwy, że w rodzinie pojawiła się malutka dziewczynka. Bardzo był już stary i chory. Tak to Biały Domek, wtulony w zielony ogród, został uświęcony jednoczesnymi urodzinami i śmiercią. Jakby dopiero teraz, nabrał praw, by stać prosto i dumnie, naprzeciw dwóch ponad stuletnich domostw z solidnego drewna, należących do rodzin osiadłych tu, na podlaskiej ziemi od lat: Stułkowskich i Zajewiczów. Ich przodkowie przybyli tu niegdyś, na skrzyżowanie traktów między Białymstokiem, Łomżą, Goniądzem. Ale że do każdego z tych centrów cywilizacji było ze czterdzieści kilometrów, więc życie w Stokowie płynęło własnym

nurtem, a raczej nurtem Narwi i jej kaprysów i zgodnie z prawami pór roku.

Dziadek mój - Teofil Stułkowski – większość życia przesłużył w armii carskiej. Wzięty z poboru jako młody chłopak został zwolniony dopiero jako mężczyzna czterdziestoletni. I chociaż jako szlachcic został uhonorowany stopniem sierżanta, jego całe młode życie upłynęło przecież w dalekiej Rosji. Jedyne zdjęcie dziadka, jakie ocalało, przedstawia mężczyznę wysokiego, wąsatego, z garbatym nosem, ale ta fotografia niewiele mówi o tym, jakim był człowiekiem. Kiedy powrócił do swojej wsi nad Narwią, nie zamieszkał u rodziców, lecz zbudował sobie Biały Domek, posadził owocowy sad i ożenił się z moją babką Kamilą. Czy była to romantyczna historia? Ba. Kamila nie chciała wcale podstarzałego znajomka rodziców, który lepiej po rosyjsku jak po polsku gadał, a on nigdy by jej nie dostał, gdyby nie to, że była panną „z przeceny”. Córka zamożnego lekarza z Zambrowa, wykształcona, wychowywana w dobrym domu, była głucha jak pień po przebytych w dzieciństwie tyfusie. I co z tego, że niebrzydka i zamożna? Mówiła niewyraźnie, śledziła słowa z ust mówiących, co nadawało jej twarzy dziwny wyraz, nie miała szans wyjść za mąż w swoim środowisku. Ojciec bardzo ją kochał, zgodził się zatem na mariaż z Teofilem Stułkowskim i bogato ją na wieś wyposażył. Podobała się chyba ciemnowłosa, osiemnastoletnia Kama czterdziestoletniemu Teofilowi, choć głucha, a pragnął nareszcie rodzinę złożyć, no i posag panny także nie był mu obojętny. I tak doszło do ślubu. Ale jak się poznali i czy kiedykolwiek się pokochali – nie wiem. Babkę Kamilę pamiętam doskonale. Była wysoką i szczupłą kobietą jak dama ze starych portretów: o czarnych oczach, czarnych, gładko uczesanych, bujnych włosach i ciemnych brwiach, które unosiła do góry, gdy była zgorszona lub nie daj Boże rozgniewana... Jej długie spódnice pachniały świeżością i jakimś ziołem, myślę, że

była to woń lawendy z woreczków, które rozkładała we wszystkich szafach i komodach.

Nie sądzę, żeby babka Kamila była szczęśliwa w tym małżeństwie. Wątpliwe czy była zachwycona swoim losem, a już na pewno nie była zakochana w czterdziestoletnim mężczyźnie, który najlepsze lata spędził w dalekiej Rosji. Jak było tak było, zjechała do Białego Domku ze swoją służącą Albertą, która umiała się z nią komunikować, kufrem strojów i białej, cienkiej bielizny, a nawet meblami. Odprawiła gosposię Teofila, miała bowiem podejrzenia co do jej dotychczasowej roli w tym gospodarstwie, i zaczęła rządzić po swojemu. Umeblowała paradny pokój – pamiętam jak się tam zakradałam jako mała dziewczynka, i podziwiałam śliczne foteliki, komodę z szufladami pełnymi pachnącej bielizny i woreczkami ziół.

Czasy nie były łatwe, ale dopóki żył ojciec Kamy, dbał aby życie ukochanej córki było możliwe znośne. Kiedy go zabrakło, a i kryzys się nasilił, pogorszyła się majątkowa sytuacja dziadków Stułkowskich. Babka musiała nawet odprawić służącą Albertę, ale nieźle ją chyba wyszkoliła, bo Alberta natychmiast znalazła pracę u jakiejś hrabiny w Warszawie i potem odwiedzała swoich dawnych sąsiadów na wsi bogato ubrana, pachnąca perfumami, tłusta jak różowa świnka. Kamila bardzo była z tego zadowolona, bo lubiła Albertę ogromnie i nie mogła odżałować jej makabrycznego końca. Otóż parę lat potem, za okupacji hitlerowskiej Alberta przyjechała tu, na wieś w odwiedziny i kiedy wędrowała taka duża, gruba i różowa, natknęła się na grupkę rozbestwionych i podchmielonych Niemców. Złapali ją, wcisnęli krzyżującą do bagażnika, upchnęli z trudem, zamknęli i wyruszyli na przejażdżkę. Po kilkudziesięciu kilometrach zabawy wyrzucili trupa na pobocze szosy. Taki epizod okupacyjny, tak wiele ich widziałam, zbyt wiele, nie wiem już sama: ile i po co...

Nie wiem też czy Teofil i Kamila pokochali się z czasem. Na pewno podobni byli do siebie w miłości do ziemi. Mieli troje dzieci, które synęły się z początkiem stulecia: Pierwsza urodziła się moja matka Marianna, potem ciotka Zenobia i najmłodszy – wuj Cezary. Rówieśnicy swojego stulecia - dorośli, gdy nastały lata dwudzieste dwudziestego wieku, a wraz z nim i oni osiągnęli lat dwadzieścia. Całkiem dobre lata, zwłaszcza kiedy byli młodzi, a kryzys jeszcze nie zaczął zaglądać tutaj, do miejsca oddzielonego pierścieniami lasów i zakolami rzeki, połaciami zielonych łąk – od cywilizacji własnego kraju, nie mówiąc o dalekiej Europie.

Moja matka Marianna dojrzała do małżeństwa, a z wojny polsko – sowieckiej powrócił syn sąsiadów - Edmund Zajewicz – mój ojciec. Jako ochotnik brał udział w obronie Warszawy, ale teraz Polska była wolna i Warszawa już go nie potrzebowała. Co innego gospodarka. Rodziny Stułkowskich i Zajewiczów, przyjaźniły się, a nie tylko ich domy, ale i łąki, ziemia leżały blisko siebie. Wydano więc za Edmunda Mariannę z Białego Domku, i młode małżeństwo tu zamieszkało, z wciąż energiczną Kamą i starym już wówczas, schorowanym Teofilem. I oto mój początek. Byłam pierwszym dzieckiem rodziców: Edmunda i Marianny. Moje życie zaczyna się i wplata w dwudziesty wiek pewnego dnia w Białym Domku nad Narwią, po ciężkim porodzie, krzykach i bólu matki, wysiłkach wiejskiej akuszerki. Urodziłam się podobno bardzo mała, ojciec żartował, że jako noworodek, mieściłam się w jego dłoni.

Edmund przejął gospodarowanie, Teofil już nie wstawał z łóżka. Zniszczyła go miłość do koni, bo dla nich nadwerężył zdrowie i siły pod koniec pierwszej wojny światowej. Przybyłe wówczas do Stokowa wojska rosyjskie zażądały koni. Dziadek nie mógł się z nimi rozstać. Sam pojechał na podwodę, nie dojadł, brał udział w walkach, o konie dbał jak mógł, a o siebie wcale. Wrócił po wojnie bardzo chory,

położył się do łóżka i już nie wstał, nawet mimo wielkiej radości z odzyskanej Polski. Babka Kamila zatrudniła chłopaka do koni, które dziadek jakimś cudem ocalił i przyprowadził do domu. Kare rżały, a dziadek uśmiechał się szczęśliwy... Pierwszą wojnę rzadko wspominał, nie chciał do tego wracać. Kiwał ze zrozumieniem głową, gdy przez wieś przebiegał sąsiad Franek. Ten powrócił z frontu całkiem przetrącony psychicznie. Brał udział w walkach pod Verdun, a to, co widział, tak poprzestawiało mu w umyśle, że biegł przez wieś i oszalały wrzeszczał: Ścierwo! Ścierwo! Ścierwo płynie wodą, patrzcie, krew i ścierwo... Teofil tylko kiwał głową, a gdy Franciszek się uspokajał, chętnie wypijał z nim trochę wódki...

Płynęły lata międzywojenne, nowoczesność zaglądała do miast, w Stokowie jednakże sprawy toczyły się jak przed wiekami. W Białym Domku, rządziła niepodzielnie babka Kamila, nawet po śmierci męża, ślubie córki i wprowadzeniu się zięcia. Kama. Zawsze myślę, że żyła zgodnie z rytmem natury. Wiosną wychodziła do swojego ogrodu, a wszystko musiało tu być piękne, najpiękniejsze w całej wsi. Jej warzywa, jej zadbane jak żaden inny sad, dom świeżo wymalowany, krzewy podcięte. W maju wystawiała na dwór donice oleandrów, które całą zimę hodowała w domu pośród swoich posażnych komód. Takiego kwiecica Stokowo wcześniej nie widziało! Drobiazgu kwietnego, stokrotek jakichś tam albo bratków nie uznawała wcale, wszystko musiało być okazałe i duże, bardzo duże, imponujące.

Kamila miała białe ręce, pracą nie zniszczone, bo zawsze używała rękawiczek. Mimo ciężkiej pracy zadbane, w bluzkach pod szyję, zawsze zapiętych broszką z kameą, w ciemnych szeleszczących spódnicach, wyglądała tak, żeby w każdej chwili, bez wstydu móc przyjąć niespodziewanych gości. Musiała żyć we własnym świecie ciszy, ale była wszędzie i umiała wszystko. Wypełniała sobą dom i ogród. Była kobietą nieprzeciętną, i dzięki niej Biały Domek był

rzeczywiście zupełnie odmienny od sąsiedzkich. Pomieszczenia w nim były jasne, okna niskie, wyskakiwałam z nich nieraz prosto do sadu. Ogrodzenie z niziutkich sztachetek odgradzało posesję od drogi, w lecie magnolie kwitły przed domem w wielkich donicach, do ścian tuliły się bzy białe i liliowe, a otaczał dom śliwkowy sad, kwitnący wiosną, jesienią bogaty w pękate, niebieskie węgierki. Pyszne.

W zimie chodziliśmy często odwiedzić drugich dziadków – rodziców mojego ojca – Michalinę i Fabiana Zajewiczów. Ich dom, ten najstarszy we wsi, właśnie skończył 250 lat! Postawił go pierwszy Zajewicz, który osiadł tu, w zielonym zaciszu nad rzeką jeszcze w wieku siedemnastym, po wojnach ze Szwecją. Pra, pra, pra dziadek się pobudował, rodzinę założył, wojować przestał a zabrał się za gospodarowanie. Dostał podobno tę ziemię za zasługi w bitwach, od hetmana Czarnieckiego, tego samego co stoi na pomniku w Tykocinie, nieopodal Stokowa. Jakie zasługi? Nie wiem, nikt tego nie zapisał, a szkoda. Budynek za to pamiętam dobrze. Och, co to był za dom! Pełen gwaru, i gości. Zjeżdżały się ciotki – siostry ojca, wszyscy zasiadali przy wielkim piecu ze zdobnymi drzwiczkami, w głębi skwierczały w ogniu gałęzie jałowca, babcia Misia pitrasila w kuchni coś smacznego a za oknem trzaskał mróz... Rodzina była duża, bo jak wspomniałam, babka Michalina, mała, żwawa kobietka, urodziła Fabianowi dwanaścioro dzieci. Troje umarło we wczesnym dzieciństwie, czwarta Amelia – na suchoty w wieku 17 lat, a reszta: cztery dziewczyny i czterech chłopców, w tym ojciec mój, jakoś się wychowały.

Dom Zajewiczów rozłożysty był, piętrowy, z solidnym strychem pełnym rupieci, które zapewne świadczyły o życiu dawniejszych jeszcze pokoleń. Stał tam kufer i wielkie szafsko, w którym na własne

oczy widziałam stary kontusz. Samowary, chodniki stare plecione, kołowrotki i duchy... z pewnością mieszkali tam, skąd w innym razie brałyby się dziwne jęki i pogwizdywania w ciemne jesienne wieczory? Dorośli nie przejmowali się tymi dźwiękami, może ich zresztą nie słyszeli, bowiem najchętniej przesiadywali w kuchni. Olbrzymiej, niskiej kuchni, do której wchodziło się prosto z sieni. Miała sufit z desek, wsparty belkami. Dookoła, przy ścianach, stały zydle – drewniane ławy z oparciami, a pośrodku na grubych nogach imponujący, prostokątny stół! Nie ma już od dawna takich wiejskich domostw drobnej szlachty, ani ich świata, którego centrum stawiała się wieczorami i w święta obszerna kuchnia, tu śpiewali piękne pieśni, nieraz mężczyźni grali w karty a kobiety przędły.. Za dnia wszyscy pracowali, ziemia to matka wymagająca, a wykarmić tylu ludzi łatwo jej nie było. Ale wieczorami przy ogniu, w tej rozjaśnionej ogniem kuchni, śpiewano pieśni legionowe i stare rosyjskie romanse Wertyńskiego. Bóg jeden wie skąd je znali, bo wiejskie piosenki to po prostu przechodziły z pokolenia na pokolenie. Babka Misia, choć w żadnym wypadku nie mogła czytać dzieł Słowackiego, śpiewała często balladę o siostrach co poszły na maliny: która więcej jagód zbierze, tę za żonę Pan wybierze, ta będzie panią... - pamiętam to doskonale, potem w szkole nie mogłam pogodzić się z tym, że to Słowacki, nie babka Misia. Mój ojciec miał piękny głos, śpiewał czysto, a głucha Kama fałszywie, ale z wielką mocą. Siostra ojca grała na gitarze, brat na harmonii. Stara ballada wojenna o tym, jak „wieś cała śpi spokojnie i nawet o tym nie śni, że nie jest tak na wojnie, jak jest w żołnierskiej pieśni”, brzmiała szczególnie nastrojowo w zimowej ciszy, kiedy zasypywało nas śniegiem, chaty zatopione w bieli błyskały światłami okien. Paliliśmy przy tych pieśniach lampy naftowe i świece, elektryczności przecież wtedy w Stokowie nie było.

Pamiętam postać dziadka Fabiana Zajewicza – z książką w sadzie, albo przy ulach, światowy siwy starszy pan, wciąż zatroskany brakiem pieniędzy. Mimo trosk owych, miał duże poczucie humoru. Kompletnie nie nadawał się do pracy na roli. Za dobrych czasów kształcił się w Petersburgu, jeździł do Rzymu, wreszcie ożenił się z babką Michaliną, bo w planach rodzinnych byli sobie przeznaczeni od dziecka i wiedzieli o tym. Prababka Marcelina podobno wołała małą jeszcze dziewczynkę do swojego płotu, częstowała ciastem, gładziła po jasnych włosach i mówiła: „a ty Michciu będziesz moją synową!” Fabian był delikatny, wciąż fantazjował i za dużo czytał. Nie miał głowy do gospodarowania, w jego domu rządził zresztą parobek Marcys. To on wychowywał dzieci, zarządzał pracą ludzi, bo dziadka Fabiana ciągle coś po świecie goniło – wyjeżdżał w dalekie podróże, a kiedy akurat siedział w domu, to bynajmniej nie siedział, lecz bywał w gminie, wtrącając się w urzędowanie albo polował. W domu było pełno dziczyzny. Marcys rządził żelazną ręką, a ojciec wspominał, że nie żałował chłopcom różgi. Uczył ich pracy i miłości do tej ziemi. Mimo, że był parobkiem, wychowywał się z dziadkiem i przyjaźnił, był traktowany jak członek rodziny i nikomu tak dziadek nie ufał jak Marcysowi. Rodzina Zajewiczów była dość zamożna, ale zbyt liczna, by starczyło dla wszystkich ośmiorga dzieci na posagi i dobre życie, i w następnym pokoleniu zamożność podupadła.

Babka ze strony ojca, Michalina – mała, kopiasta w swoich spódnicach, mniej mi była bliska niż Kama. Oto co zapamiętałam: nie lubiła kapeluszy. Nie lubiła i już. Zawsze nosiła piękne koronkowe szale, które dziadek przywoził jej z podróży. Była dość wykształcona - umiała nawet czytać po polsku. Gdy była młoda, czyli hen, jeszcze w wieku dziewiętnastym, zimową porą, przyjeżdżał do wsi nauczyciel, zbierano się w małe grupki, by poznawać polskie litery - w wielkiej

tajemnicy, bo gdyby rzecz się wydała, wszystkim groziła wywózka na Sybir.

Michalina była jednakże dzielną kobietą. Rok tysiąc dziewięćset dwudziesty zastał ją bez męża, bo dziadek Fabian zapodział się gdzieś po wojnie, w legionach pozostawał jeszcze najstarszy syn Aleksander, piłsudczyk, a kolejny syn Edmund – mój ojciec - poszedł bronić Warszawę przed Sowietami. Została sama z dziećmi, służbą i gospodarką, w dodatku wycofujące się wojsko polskie zakwaterowało jej rannego żołnierza w ciężkim stanie. Stokowo nasze, choć to wioska mała, za każdej wojny musiała znaleźć się na linii frontu. Polacy odeszli - a następnego dnia wkroczyli bolszewicy. Pierwszą rzeczą jaką zrobili po wejściu na podwórko – zastrzelili na oczach babki młodego parobka. Michalina wpadła we wściekłość. Biegłym rosyjskim skłęta ich na czym świat stoi, tak, że najeźdźcy stanęli oniemiałi. Mieli chyba wrażenie, że nagle znaleźli się w swoim domu i ruga ich soczyście rodzona matuszka! Szybko jednak oprzytomnieli i myśląc, że zabili tej kobiecie syna, kazali prowadzić do domu. Gdzie drugi syn? Pewni byli, że ma jeszcze jednego. Michasia śmiało otworzyła drzwi i pokazując rannego żołnierza powiedziała: „Prigłaszajem, mój syn wot, zdies’, tam, bolien. Tyfus. Umrze i tak.”

Bolszewicy w popłochu cofnęli się od progu. Bali się tyfusa jak ognia. Usiedli na podwórzu, na szczęście szybko nadszedł rozkaz dalszego pochodu, więc zrabowali co zdążyli i odeszli. Pytałam potem babkę co wtedy czuła, ale potrząsała tylko głową i mówiła: żegnałam się z życiem Jasiu!

Kiedy przeszła nawałnica bolszewicka i nastał pokój, powrócił z wojska najstarszy brat ojca - Aleksander. Nie sam – przywiózł ze sobą młodziutką, ciemnowłosą żonę Sabinę. Była śliczna. Za cały majątek miała jednakże kufer strojów, piękny głos i urodę. Michalina przyjęła

ją ciepło i o nic nie zapytała. Miała już chyba dość wojny, tęsknoty za synami, niewiedzy, chciała mieć rodzinę pod jednym dachem.

****.*

Wieś nasza, Stokowo, miała oczywiście więcej dymów niż tylko wspomniane trzy chałupy. Jej osią, kręgosłupem wioski, była jedyna, w części brukowana droga, przy której rzędem stały domostwa: sąsiadów, kuzynów, parobków, także i żydowskie chaty. Tu wierzbina, brzoza, tam wiąz przed domem – drzewo dziadków ulubione... Droga biegła równolegle z nurtem Narwi, a krzyżowała się z szosą od mostu, pamiętającą jeszcze czasy carskie i przemarsz Napoleona. Krzyżówka dzieliła Stokowo na dwie strony, tak się mówiło: „po drugiej stronie szosy”. Krzyżówka owa stała się też centrum wioski, miejscem spotkań i wymiany informacji, bowiem odkąd pamiętam, stała przy niej pochylona ku ziemi żydowska karczma, ze strzechą i małymi zapyziałymi okienkami, z brodatym Izraelem w fartuchu karczmarza na progu. Gość z dalekiego świata, zaplątany niekiedy w te strony, także w karczmie się zatrzymywał, opowiadał co tam za rzeką, za lasami, po czym, podążając traktem na wschód lub zachód, na szczęście malał i znikał u ich kresu.

Po drugiej stronie szosy właśnie, mieszkała ciemnowłosa Irenka, dwa lata starsza ode mnie, pełna energii i pomysłów córka naszych kuzynów Kownackich. Bawiliśmy się razem świetnie w ich sadzie, a kiedy nadeszły chłody, w obszernym domu. I sadów takich już dziś nie ma. Olbrzymie grusze tykwy – jakubówki rosły obok jabłoni jak sobie chciały, nikt tego nie kontrolował. Gąszcz wiśni, czereśni, malin. Miałyśmy z Irenką zakątek pod drzewami, tak zaciszny, że nawet wiatr wiejący od wody nie śmiał do nas zajrzeć. Wchodziłyśmy zgięte do swojej zielonej norki. Zgromadziłyśmy tam stare talerze, skorupki,

formy na babki z piasku i jedną, porządnie uszkodzoną, szmacianą lalkę. Tam bywałam matką, ciotką, siostrą, tam przyjmowałyśmy wyimaginowanych gości. Chwasty stawały się wspaniałym sałataami, tortami, i mazurkami... Irenka wołała przyjęcia mniej wystawne, częstowała swoich gości kołdunami z piasku, bo ciast nie lubiła i w zabawie była wierna swoim gustom.

A dom kuzynów Kownackich większy był znacznie od naszego Białego Domku, był pięknym rozłożystym domostwem zbudowanym ze starodrzewia. Drzwi nabijane wielkimi ćwiekami, ciężkie, bezpieczne, za nimi wielka sień wybrukowana kamieniami i szerokie drewniane schody na górę. Najcudowniejszy jednak był w domu Irenki strych: pełen tajemnic, ciemny z małymi okienkami i glinianą podłogą, pachnący ziołami i jabłkami, obwieszony sznurami czosnku i ziół. Kiedy padał deszcz, tam przenosiłyśmy się z zabawą...

Pamiętam, jak pewnego dnia wybrałam się do Irenki pięknie wystrojona, bo ciotka z Warszawy przywiozła mi w prezencie czerwony beret. Bardzo byłam z niego dumna i sunęłam przez wieś z całą satysfakcją, pewna zazdrości jaką wzbudzi mój beret. Wkroczyłam na podwórko Kownackich pełne drobiu, gdzie niepodzielnie zarządził król Indyk. Na widok mojego beretu wpadł w tak straszliwą złość, że nie miałam szans ucieczki. Z gulgotem, który zapamiętam do końca życia wskoczył mi na głowę. Myślałam, że oto nadszedł mój finał - kres istnienia dziewczynki w cudownym, czerwonym berecie, który wylądował w paskudnych odchodach ptactwa. Ojciec Irenki wypadł z domu i wybawił mnie z opresji, ale próżność moja jak i beret zostały zniszczone na zawsze.

Dom Kownackich spłonął w trzydziestym dziewiątym, a oni sami przenieśli się do rodziny na Mazurach i tam przetrwali wojnę.

Dom dziadków Zajewiczów potężny mi się wydawał i gwarny. Dom Irenki Kownackiej – jak jego rodzony brat, nawet ramy okienne ozdobione miał identycznie, zapewne na jego wzór był budowany – bezpieczny. W pierwszym przyglądałam się dorosłym, wystrojonym ciotkom, wąsatym wujom. W drugim bawiłam się pysznie z Irenką. Ale ukochany i najbliższy memu sercu był nasz Biały Domek. Codzienne drzwi, prowadzące do sieni były nabijane gwoździkami o dużych łebkach. Za ciężkie dla mnie, dziewczynki kilkuletniej, otwierałam tylko te paradne, dla gości i wymykałam się na podwórko.

Wdrapywałam się na drzewa, za co mnie karcono, na wołanie z głębi kuchni: „Janeczka, Jasia! Kolacja”, biegłam głodna, by nasycić się świeżym mlekiem i pajdą chleba z miodem. Całe nasze życie rodzinne toczyło się w wielkiej kuchni o białych ścianach, z olbrzymim piecem, przylegały do niej po bokach pokoiki służące tylko do spania. Drzwi od kuchni nie zamykano na noc. Sypialenkę miałyśmy wspólną z babcią Kamą, potem z siostrą moją młodszą, Cezaryną. Często w mroku nocy budziłam się i widziałam zarys kobiecej postaci ogromnej tak, że jej głowa nie mieściła się w izbie i ginęła pod sufitem. Nogi i ręce miała grube i ciężkie, brzydkie szare, ubranie na sobie. W wielkich rękach trzymała małą harmonię. Słyszałam jak ochryple mówi: jestem Hermina, a harmonia powtarzała za nią okropnym rzępoleniem: Hermina... Hermina.... Hermina ... Nakrywałam wtedy głowę kołdrą i strasznie bałam się tej Herminy. Czułam, że zwiastuje niedobre zdarzenia, a może wszystko co wkrótce miało nadejść, kotłowało się niepewnym przeczuciem, senną wizją w mojej głowie i taki przybierało obraz. Rzępolenie trwało, a ja czekałam, kiedy upiorzyca sobie pójdzie... Sen o Herminie skończył się pewnej nocy. Po prostu nie powrócił.

W Białym Domku mojego dzieciństwa było ciepło. Ciepłem promieniały ściany, ten dom wydawał się wieczny, bezpieczny nie tylko dla tych, co żyją ale i dla tych co przyjdą po nich... Pozór, nie ma nic trwałego. Niemcy spalili Biały Domek w 39 roku.

A babka Kamila zmarła po wojnie, w roku 1948. Miałam już wtedy 25 lat i właśnie wyszłam za mąż. Bardzo kochałam Kameę, a ona mnie. Matka moja szybko urodziła drugie dziecko. Młodszy brat Antoni urodził się, kiedy skończyłam dwa i pół roku, i on stał się obiektem miłości rodziców, ale dzięki babci Kamili nie czułam się pokrzywdzona. Lubiłam dotyk jej miękkich rąk i zapach spódnic, z dziecinnych lat pamiętam ją właśnie najbardziej – nie matkę czy ojca. Lepiej już brata matki - wuja Cezarego, jak wyciąga do mnie ręce i podnosi mnie z podłogi. Ale najwyraźniej żyje w mojej pamięci babka Kamila, widzę oczyma duszy jak śpiewa w Wielkim Poście pobożne pieśni o Męce Pańskiej. Głuchota nie pozwalała jej śpiewać czysto, ale głos miała mocny, słowa pieśni trafiały mi do wyobraźni i budziły prawdziwą grozę. Z okna Białego Domku widać było dach stodoły, tam właśnie wyobrażałam sobie Chrystusa dźwigającego krzyż. W wiejskiej kaplicy, przebudowywanej w kościół, dokąd chodziliśmy na mszę, widziałam obrazy męki, w tle gaje oliwne i dziwnie ubranych ludzi, którzy krzywdzili Chrystusa. A nad naszą stodołą unosił się w promieniach z aniołami i tak mi go było szkoda, że musi opuścić swoje oliwne gaje... Na pojęcie okrucieństwa lub też nauki chrześcijaństwa byłam za malutka. Ale ten Chrystus nad stodołą w Stokowie, to jedno z pierwszych wspomnień, choć nie najwcześniejsze. Najpierwsze to jakiś różowy obłok. Kłębił się, otulając mnie sennym ruchem... Może stara drewniana kołyska, w której wychowało się kilka pokoleń dzieci, miała takie czarodziejskie właściwości? Potem Kamila pokazała mi rzekę, Narew – zapewne z okna – i to było wielkie przeżycie. Tysiące iskierek tańczących na wodzie. Bardzo ją kocham, rzekę i wodę,

*choć może to dlatego, że jestem spod znaku Wodnika i podobno
rodziłam się – mimo stycznia - w strugach deszczu.*

Rozdział 1

Podlasie 1946. Janka

W strugach deszczu, na starej przystani nad rzeką, pod skrzypiącym
przęsłem zapomnianego mostu, ukryła się para młodych ludzi.
Przybiegli do starego portu rybackiego, zadyszani, rozbawieni
ucieczką przed ulewą. W oddali widniał zarys miasta, znikwały w mgłę
dachy Białegostoku, tętniło tam miejskie życie, które nie obchodziło
ich w tej chwili wcale. Dziewczyna była drobna, miała jasne włosy i
popielaty płaszcz. Mężczyzna nosił kapelusz modny w epoce, która
właśnie nastąpiła, szpiegowski, jak bohater wojennych melodramatów
z lat czterdziestych. Był bardzo przystojny i dużo od niej wyższy.
Pochylił się nad twarzą dziewczyny. Dostrzegł, że jej szare oczy z
brązową plamką na prawej tęczęwce, podczas deszczu stały się
całkiem zielone. Deszcz padał nieustannie, ale oboje nie odczuwali
zimna. Spotkali się tak niedawno i jak większość młodych,
zakochanych byli pewni, że znają się od zawsze i na zawsze. Planowali
teraz przyszłość, pocałował ją jeszcze raz.

Nic na to nie wskazywało, ale nie sądzone im było żyć szczęśliwie, a
jemu nawet nie długo. Kobieta dożyła wprawdzie sędziwego wieku,
ale mężczyzna termin śmierci miałznaczony na czas bardzo bliski,
można by odliczyć go w miesiącach. Ale w strugach deszczu nie mieli
o tym pojęcia, tylko ich anioł opiekuńczy westchnął zmartwiony. O ile
tam był.

Janka. Właściwie Elżbieta - Janina, nazywana przez rodzinę drugim imieniem, bo bardziej do niej pasowało. Po prostu: Jaśka jest ruchliwa i prędką w słowach, Janka ma poczucie humoru, Nina obiecuje wyobraźnię. Dystyngowaną Elżbietą nie była nigdy. Wiele istotnych zdarzeń w jej życiu rozegrało się właśnie w strugach deszczu. Padało podobno tej nocy, kiedy się rodziła w Stokowie nad Narwią, mimo pory zimowej, w roku 1923. Padało jesiennego dnia, trzydziestego czwartego roku, kiedy wyjeżdżała do miasta, do Zambrowa, zamieszkać u siostry ojca, ciotki Maryli, i uczyć się w tamtejszym gimnazjum. I padało w tym dniu w Białymstoku, nad przystanią, ulewnie, mocno, kiedy młody, utalentowany muzyk, Mirek Jurkiewicz, zapytał czy zechce teraz, po wojnie, zostać jego żoną. Musiało przecież padać w takiej chwili.

Rozmyślała o tym wszystkim, tłukąc się autobusem przerobionym z amerykańskiej wojskowej ciężarówki, z dziwacznymi siedzeniami na pace, ale wszakże autobusem. Marną drogą, w ścisku, jechała z Białegostoku do Stokowa, powiedzieć rodzicom o swoich małżeńskich planach. Wiedziała, że dojedzie tylko do Jeżewa – małej, kościelnej wsi na skrzyżowaniu dróg na Warszawę i Łomżę, wysiądzie przy typowej dla tutejszych stron brązowej chałupie ze strzechą, a potem czeka ją piesza podróż do domu - 12 kilometrów. Mimo to była szczęśliwa, uśmiechnęła się do siebie tak serdecznie, że dziadunio z Żółtek popatrzył na nią zgorszony. Jak dobrze się stało, że od razu po wojnie pojechała do kuzynki ojca do Białegostoku! Miał rację stryj Olek, żeby wyrwać się ze Stokowa, mimo że Białystok zniszczony był bardzo, wciąż cały w gruzach, ale miasto tak jak ona – zaczynało układać swoje życie od nowa po tym strasznym czasie okupacji.

Dziewczyńskie lata Janki przypadły na wojnę. Jak całemu pokoleniu urodzonemu w latach dwudziestych, przyszło jej zaznać życia w ciekawych, więc tragicznych i okrutnych czasach.

- Nasz wiek XX – myślała oglądając mijane wioski, popalone domy, łąki poorane od bomb – Niech go szlag trafi. Podły czas! Ta próba człowieczeństwa raczej się panu Bogu nie udała...

Po zdarzeniach, których była świadkiem, nie miała żadnych złudzeń co do szlachetności rodu ludzkiego. Jej siostra, Cezaryna, spokojna, słoneczna dziewczyna nazywała ją przez to Zdruzgotkiem. Ale Cechna, jasnowłosa, słowiańska Cesia, która swoje dziwne imię dostała po bracie matki, była aż o cztery lata młodsza!

- O tak, na jednego twojego świętego przypadnie w historii setka swołoczy i łajdaków – mówiła Janka, kiedy o tym dyskutowały, a Cechna wyniośle i wzniośle przypominała o wielkich bohaterach.

Niemniej wiosną roku 1946, kiedy deszcz padał ulewnie, a ona całowała się z narzeczoną na starej przystani za Białymstokiem, zakiełkowały w niej marzenia. Pozwoliła sobie na to. Uwierzyć sobie pozwoliła, że życie zamierza przybrać normalną postać. Dokończy szkołę, odnowi edukację muzyczną przerwana ot, tak jak gdyby to było nic, pierwszego września trzydziestego dziewiątego. Wspomniała ten dzień. Siedziały z Cezaryną u rodziców, w rodzinnym Stokowie. Nad Narwią – dosłownie, bo na nadrzecznej plaży, ze stopami zanurzonymi w gorącym białym piasku, zaraz za domami, w miejscu, w którym rzeka podbiegała pod wieś mocnym zakrętem. Janka kochała ten kawałek ziemi nad życie, tak samo intensywnie doń ciągnęła jak intensywnie jej siostra chciała się stamtąd wyrwać. Cechna w tym roku 39 także miała wyjechać do szkoły, do tego samego gimnazjum, które Janka właśnie ukończyła, ale nie wracała na wieś. Dobrze napisała małą maturę, i postanowiono kształcić ją dalej.

Nauczyciel śpiewu odkrył, że jest muzykalna, ma śliczny głos. Przyjaciel ciotki, samotny profesor, zachwycony bogatą skalą tego głosu chciał łożyć na jej naukę. Kto wie... żartował, może będzie z niej druga Hanka Ordonówna... A pod koniec sierpnia nikt nie myślał już o szkole ani o estradzie. Wszyscy mówili o wojnie i o wojnie. Dziewczyny siedziały w domu, niepewne czy ruszać się ze wsi.

Obie wstawały latem o świcie, żeby jak najszybciej uporać się z pracą i poleżeć potem nad rzeką. Jaśka pływała jak szczupak, powolniejsza, za to bardziej zaokrąglona Cechna wygrzewała się na piasku. Pierwszy września był wyjątkowo upalny. Rozmyślały i gadały: czy w końcu pojedą do szkoły, o sukienkach na jesień w mieście i czy ciotka Sabina kupi im nowe pantofle u Jabłońskiego, jak w zeszłym roku. Prawdziwe błogosławieństwo, że Sabcia, bratowa ojca nie miała własnych dzieci. Łożyła na dziewczynki, bo w domu Edmundów przy czwórce latorośli nie powodziło się zanadto dobrze. Ojciec był w końcu jednym z ośmiorga Zajewiczów, a gospodarstwo nie było duże. Matka – pobożna, zawsze spracowana i zawsze smutna – nie umiała oszczędzać. Tego słynnego pierwszego września przybiegła nad wodę do córek krzycząc: – Wojna! Dziewczyny, wojna, Jezus Maria, co to będzie, znowu wojna!

Wojna, wojna! Złowrogie słowa uniosły się nad łąkami zapadły w duszę Janki.

Nie pojechały nigdzie. Postanowiono, że póki wojna, bezpieczniejsze będą na wsi. Stokowo przycupnięte było na skraju lasu, nad zakrętem Narwi, wieś w której jak to w polskiej wsi bywało, stała karczma i mieszkali Żydzi, a parę kilometrów dalej, w Wiźnie stacjonowało polskie wojsko. Wydawało się bezpiecznie - we wsi, którą odwiedzali oficerowie z korpusu Ochrony Pogranicza, a dowódca odcinka, kapitan Raginis pił gorzałkę z ich ojcem i stryjami. Jakże złudne było to

bezpieczeństwo! Z jakim żalem usłyszeli potem o samobójstwie tego przystojnego kapitana, który dotrzymał złożonej przysięgi i nie oddał Niemcom bunkra. Ciąg dalszy? Przemarsz jednych wojsk, potem następnych, potem okupacja, wysiedlenia, ziemianki - las w nocy, głód. Janka wzdrygnęła się na to wspomnienie. Wszy. Pożar. Mydło własnej roboty. Niemcy i Rosjanie, raczej Rosjanie i Niemcy... Jedni warci drugich. Kiedyś to spiszę – postanowiła. Minione pięć lat dokonały, że z szesnastolatki stała się dwudziestodwuletnią kobietą, a kiedy płakała wtedy we wrześniu nad zniszczonym ogrodem, czuła się mimo szesnastu lat bardzo, bardzo stara.

Ale teraz nastał 46 rok, wiosna, a ona jedzie tym starym klekotem do domu. Pokój, niech będzie pokój, za jakąkolwiek cenę. Wszystko od nowa. Wyjdzie za mąż. Będzie się uczyć śpiewu – przecież w Białymstoku muszą powstać jakieś szkoły, Mirek jest zdolnym skrzypkiem, już snuł plany jak to będzie organizował białostocką Filharmonię. Ona marzyła nieśmiało o filmie, film stał się podczas wojny popularniejszy, już nie był dziwowiskiem obwoźnym po wsiach. Zamieszkają w Białymstoku, Mirek dostał z przydziału dla nauczycieli zgrzebną kawalerkę przy ulicy Sienkiewicza, która podnosiła się z ruin tak samo dzielnie jak oni, jak wszyscy. Janka po kilku miesiącach wizyty u ciotki Anki w Białymstoku chętnie jechała do Stokowa, wędrownia piesza nie męczyła jej, miała o czym rozmyślać. Od zakrętu na Łomżę wiodła do domu brukowana droga obsadzona wierzbami lub na skróty, przez pola. Wybrała dłuższą drogę, wśród drzew i układała swoją przemowę. Uśmiechnęła się do lasów, które znała na pamięć, które w wojnę nieraz były im schronieniem i hotelem, uśmiechnęła się wreszcie do pochylonego płotu przy domu i do okienka na strychu. Ten dom, z jasnego drewna, był mały i skromny w porównaniu z domami jej dzieciństwa, zniszczonymi w czasie wojny. Wybudował go ojciec, naprędce w powojennych miesiącach,

by z rodziną zamieszkać na swoim. Po Białym Domku dziadków, w którym przyszła na świat nie było śladu. Po wypielegnowanym ogrodzie babki też nie. - Ale przeżyliśmy – pomyślała. – Wszyscy chyba. Chyba, bo o jej bracie, Antonim, wywiezionym do Rosji wciąż nie było wieści. Znajomo skrzypnęła furtka. Matczyne kury dziobały trawę na podwórku, obojętne tak samo na jej filozoficzne rozmyślania jak na porywy serca.

W domu przywitała Jankę ponura atmosfera. Coś wisiało w powietrzu. Jak gęsta chmura, zawiesina w kuchni – mieszanka oparów zupy, dymu papierosów i żalu.

- Matka nasza nie należy do kobiet tryskających radością – westchnęła Janka w duchu.

Rzeczywiście - Marianna Zajewicz ze Stułkowskich była przykładem kobiety – smutasa. Nie oczekiwała od losu specjalnych darów, i w związku z tym ich nie otrzymywała. Kiedyś, jako młoda panna w Białym Domku więcej miała w sobie radości, ale potem wszystko układało się nie tak jak by sobie wymarzyła. Na początku lat trzydziestych ścięła piękne, popielate włosy, sięgające jej do kolan, nie dla mody jak jej kuzynki, ale żeby sprzedać warkocz i kupić lekarstwa Rozalce. Rozalka, jej czwarte dziecko umierała na nieznaną nikomu chorobę. Doktor z gminnej wsi tylko ocierał czoło i zmieszany rozkładał ręce. Dziwna to była choroba, bardzo rzadka – dziecko zmieniało się w zastraszającym tempie, kurczyło w sobie, marszczyło – tak jakby ten mały organizm skazany był na przyspieszony byt, odrobienie całego życiorysu w kilka miesięcy. Czemu tak rzadka przypadłość trafiła się właśnie u nich? Pasowałaby do wielkich miast, rodów obarczonych genetyczną skłonnością do oryginalności, przeklętych za jakieś wyuzdane grzechy przodków. Nie wiadomo za czyje grzechy zapłaciły mała Rozalka i jej matka. Rozalka

nieświadoma swojej oryginalności po siedmiu miesiącach dziwnej, przyspieszonej egzystencji pomarszczyła się całkowicie i zmarła, a młodość jej matki odeszła razem z nią. Tak jakby nożyce obciąły beztroskę i młodzieńczość razem z jasnym warkoczem, którego ku jej dumie ani brat ani mąż jej nie dali rady objąć jedną dłonią. Marianna miała posępną naturę, przy łóżku trzymała obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i książeczkę do nabożeństwa. Antka, jej starszego syna, zabrali w głąb Rosji jeszcze w czterdziestym. Siedziała po oknem nastroszona, szczupła, w chustce zawiązanej pod brodą, niezadowolona z życia. Wypracowała sobie system wiecznego narzekania i wszyscy dziwnie zarażali się tym jej wzdychaniem.

Janka popatrzyła na nią i pomyślała to co zawsze: że ta kobieta była za delikatna do życia, jakie przypadło jej w udziale. Do gospodarstwa, ciężkiej pracy, mrukliwego i mało wrażliwego męża, wprowadzie jednego pracowitego z braci Zajewiczów, ale za to pozbawionego krztyny romantyzmu czy czułości wobec żony. Na pytanie o konkury wzruszyłaby ramionami. Ot, znali się od dziecka, domy ich stały po sąsiedzku i rodziny ułożyły ich małżeństwo. Ale wszystko toczyło się inaczej niż to kiedyś sobie wymarzyła. Wszystko. Edmund nie kochał jej jak bohaterowie z książek, z ulubionego Quo vadis na przykład. Wątpliwe czy kochał ją w ogóle, bo szybko okazało się, że ją zdradzał. Było ciężko, pieniędzy mało, ziemia wymagała dużo pracy. Dzieci sypały się rok po roku. Pierwsza Janka, zaraz potem Antoni, za parę lat – Cezaryna nazwana tak na cześć brata matki, Cezarego, zarazem chrzestnego dziewczynki. I Rozalka. Przed samą wojną prawie, w 37 – chłopiec, Boguś. Nie chciała już więcej dzieci, ale nie chciała też być zdradzana i właściwie nie wiedziała jak z tego problemu wybrnąć, bo nawet z lekarzem za nic nie porozmawiałaby o takim dylemacie, więc gryzła się w samotności. Na dodatek – kryła w duszy własną tajemnicę, której rąbka nigdy nikomu nie uchylila. Kiedyś, gdy zaczęli

życie jako młode małżeństwo i mąż jej, Edmund wprowadził się do Białego Domku, powrócił z wojska jego brat, Aleksander. Najstarszy. Znała go przecież też od dawna, lecz w dniu, kiedy przybył do nich w odwiedziny, wydał się jej nagle inny. Stał w drzwiach z rozwianą czupryną, piękny, rosy, z radością w szarych oczach. Szarpnęła go, coś poruszyło szczupłą postać, chociaż tylko podała mu rękę. Najstarszy z braci zapadł jej w serce. Aleksander. Taka była tradycja – pierwszego syna w rodzinie Zajewiczów nazywano Aleksander, drugiego – Maciej. Potem już rodzice odważniej sięgali do wyobraźni i znanych ksiązek, albo sławnych osób, dlatego mąż jej dostał oryginalne imię Edmund – Miron. Sama Marianna dodała swoim córkom imiona takie jakie w dalekim Londynie nosiły królowny angielskie: Elżbieta-Janina i Cezaryna-Małgorzata. Marzyła o dworach i świecie z ksiązek, ale co z tego – niekochana, zapracowana, niezbyt szczęśliwa wiodła życie u boku hreczkosieja Edmunda. Na złość całej rodzinie swojego pierwszego syna obdarzyła modnym imieniem Antoni, nie żaden Aleksander. Prawda była taka, że nie miała siły, by wołać syna imieniem tak jej drogim i obcym zarazem. I teraz co – Rozalka skurczyła się i umarła jeszcze przed wojną, a ukochany syn zaginął w głębi Rosji. A na dziewczyny i tak wszyscy wołali Jaśka i Ceśka. W dodatku synek jej przyjaciółki, mały Cezary utopił się w rzece i rodzina dokuczała jej, że nieszczęśliwego imienia nie trzeba było córce dawać. Albo Antoś? Gdzie był? Czy w ogóle żył jeszcze? Siedziała więc teraz nastroszona pod oknem i Jance jakoś nie mogły przejść przez usta radosne słowa o zamążpójściu.

Czuła, że coś tu jest nie tak.

- Coś się stało? – zapytała. Ojciec odwrócił się od pieca.

- Ano stało. Twoja siostra musiała wyjechać – mruknął – diabli jej nadali, ruskiego oficera ratować przy drodze.

- Umierał, pomogła mu – smutno dopowiedziała matka – człowiek przecież, chociaż ruski. Młody, dwadzieścia parę lat...

- No i przyszedł w nocy kuzyn Janek, co karmi leśnych - Edmund burczał niezadowolony – i powiedział, żeby uciekała, wyprawić kazał jak najdalej, bo wydali na nią wyrok. Komuniście pomogła. Diabli nadali kłopot - wzruszył ramionami i poszedł na dwór zapalić skręta.

- Ojciec w nocy wyprawił ją na Mazury, do Mrągowa, u kuzynów Kownackich znajdzie kwaterę – matka rozpłakała się całkiem.

Janka westchnęła. Odłożyła na bok opowieść o swoim szczęściu i usiadła przy szlochającej matce.

– Cechna da sobie radę – pocieszyła ją. – Leśni nie polecą przecież do Biskupca, a ma tam wymarzoną szkołę pielęgniarzką. Zawsze chciała się uczyć... Postąpiła jak człowiek. Dobrze zrobiła.

Jak się potem dowiedziała, Cezaryna, jej ładna i stanowcza, chociaż niecierpliwa i szybka w decyzjach siostra nie umiała i nie chciała przejść obojętnie obok rannego, który jęczał w rowie.

– Młody chłopak – opowiadała Jance, kiedy się spotkały – udo roztrzaskane, gdzie on tam myślał o ideologii, jaki tam radziecki oficer! Matkę też ma jakąś, gdzieś w dalekiej Rosji, nieprawda?

Zresztą ona – Cezaryna – chciała być pielęgniarzką, lekarzem może kiedyś – jak mogła pytać o wiarę albo poglądy? Opatrzyła go jak umiała, dała znak sołtysowi, ten władzom w gminie. Przyjechali gazikiem, zabrali, tyle. Ale Cechna musiała pakować manatki nocą wozem uciekać na Mazury.

– Wszystkie dzieci potracone, wszystkie – narzekała matka. Janka poczuła ból w sercu. Mogła zrozumieć, że mały Bogdanek, płatający się po domu jeszcze się nie liczył, ale ona – wszak przetrwała z

rodzicami całą wojnę. Zawsze na dyżurze. Nie była stracona... Kochała tę ziemię i to miejsce. Kochała matkę, ale ta chlipała tylko i jej wystającymi łopatkami wstrząsał płacz. Janka objęła ją, a Bogdan pobiegł na dwór za ojcem, strugać coś z patyka. Ciężko i mozolnie zaczynało się to nowe szczęście.

Leśni faktycznie przyszli, weszli bez pukania do ich kuchni jeszcze tego wieczoru. Pytali gdzie ta litościwa samarytanka co komunistom pomaga. Ojciec mruknął, że córka jest dorosła, nie tłumaczy się, wyjechała i on nic nie wie. Janka zawsze miała niewyparzoną gębę, więc nie mogła się powstrzymać:

– A co – rzuciła – wy nadal tylko zabijać? Mało wam jeszcze było tragedii?

Szef leśnych, Michał nazywany Dzikim, zaśmiał się i chwycił ją pod brodę. Od dawna mu się podobała – żywa, nieduża, wygadana blondynka. Oczy w złości zielone. Lubił takie kobiety. Sam nie był wysoki, ale sprawny i szybki, oczy miał stalowe, włosy ciemne, bliznę na policzku. Mówiono, że nie znał swojego pochodzenia, smagła cera wskazywała, że niewiele miał w sobie z rasy słowiańskiej. Nie pochodził stąd, jak wielu przybłąkał się w wojnę do Stokowa. Chuchnął jej w twarz oddechem przesyconym tytoniem i wódką.

- Ty Jaśka nie skacz, bo wiesz – ścisnął jej szyję aż w oczach pojawiły się łzy. - Lepiej żyj ze mną w zgodzie, ty...

Puścił a ona nie mogła splunąć, bo kaszłała przez ściśnięte gardło. I lepiej się stało. Ojciec przyniósł kwartę gorzałki i mięcho. Leśni zaśmiali się, wzięli haracz i wyszli. Michał odwrócił się jeszcze w drzwiach. Białe zęby błysnęły, gdy uśmiechnął się spod wąsa.

- Pamiętajcie! – podniósł w górę palec – złe przyszły czasy! Trzeba komunistów, skurwysynów zabijać, nie pomagać!

Kiedy drzwi za nimi się zamknęły, Janka złapała trochę tchu i rzuciła w drzwi drewnem. Ojciec pokiwał głową, a matka uderzyła w płacz. Wiosno 46, co przyniesiesz?

Wiosna nie kazała na siebie długo czekać. Najpierw wylała Narew. Tylko tu i tylko o tej porze świat wygląda właśnie tak – łąki pod dużymi lustrami wody, żółte plamy kaczeńców, srebrne, błękitne i zielone smugi. Odbudowano most na Narwi, w miejscu tego, który spłonął zbombardowany we wrześniu 39. Nowy, lekki, błękitny, spinał brzegi Narwi i znów można było oprzeć się o balustradę, by popatrzeć na rozległe łąki. Janka uwielbiała widok z mostu, szczególnie teraz w czas rozlewisk. Na wschodnią stronę - gdzie pośród wód wyrósł nieduży, drewniany domek rodziców. Na zachodnią - gdzie nawet resztek dawnego, spalonego w wojnę Białego Domku, ani starych domów dziadków nie było już widać, za to sterczała pochylona nad wodą, opuszczona chałupa sąsiadów. Port Artur – śmiała się z tej chaty, można było z jej okna łowić ryby. Nastął wiosenny czas ptasich godów. Tylko o tej porze roku ptactwo krzyczało tak głośno i w taki dziwaczny sposób. Janka stała na moście i rozmyślała o wypadkach ostatnich dni. Od Cezaryny z Mazur nie było wiadomości, ale to i nic dziwnego – poczta nie chodziła wcale sprawnie, może zresztą Cechna nie chciała na razie pisać. Wuj Janek mówił, że dojechała dobrze do kuzynów ze Szczytna, dalej na pewno pomogli i jak złych wieści nie ma – znaczy dotarła. Nowe porządki nastawały i tu na wschodzie, ojcu cudem udało się uniknąć losu kułaka, bo ziemi akurat do czterdziestu hektarów zabrakło tyle co parę arów – albo i przekupił geodetę, któż teraz nie był łasy na bimber i mięso.